

O kontrastach, biedzie i niezłomnym duchu

■ Gdy idziesz przez Manhattan – najbardziej prestiżową część miasta, dumnie określanego przez wielu jako „stolica świata” – przypominają ci się obrazy z filmów Martina Scorsese czy Woody’ego Allena, które pokazują przeróżne oblicza tego barwnego molocha.

Oskar Urbaniak

Obrazki Wielkiego Jabłka, jakie serwuje nam znerwicowany, wzbudzający sympatię intelektualista, zżerany przez wewnętrzne demony własnych traum i natręctw, różnią się od gangsterskich wizji Scorsese. W filmach Allena, który niechętnie wyściubiał nos poza bogaty, mityczny Manhattan, to miasto jawi się jako eleganckie miejsce fantastycznych muzeów, zadymionych, dusznych knajp, z których sączy się zmysłowo jazz. Z drugiej strony masz przed oczami obrazy z filmów, w których mafijne porachunki zostawiły swój ślad. Tymi ulicami lała się krew „chłopaków z ferajny”. Takie miasto oglądałeś w „Gangach Nowego Jorku”, gdzie o każdy jego metr w starych czasach, gdy formował się ten miejski kolos, walczone szczyrymi, spluwali i siekierą.

Nowy Jork to miejsce ogromnych kontrastów, w którym złoto Piątej Alei, najdroższej ulicy świata, tuż za rogiem wita się ze śpiącymi na ławkach lub bezpośrednio na chodnikach bezdomnymi. Z jednej strony jest chyba największym symbolem USA, z drugiej, przez mieszkających w nim imigrantów, uznawany jest za najmniej amerykańskie miasto. Mówi się, że Nowy Jork to nie miasto, to stan umysłu. Mam wrażenie, że cała Ameryka to tak naprawdę stan umysłu. Tylko od nas zależy, jak sformujemy rzeczywistość naokoło siebie. Wszelkie narzędzia, jakimi to się zrobi, o ile przebywa się w Stanach legalnie, ma się w swoich rękach. I nie dotyczy to tylko Nowego Jorku, w którym chyba najmocniej ścierają się wszelkie możliwe życiowe kontrasty. Spacerując jego ulicami, można wręcz namacalnie przekonać się, jak bardzo wielkie bogactwo blisko jest wielkiej biedy. W tym mieście „każdemu może się udać – jak śpiewali przed kilkoma laty Jay Z i Alicia Keys w „Empire State of Mind”. – Jeśli uda ci się tutaj, uda ci się wszędzie”.

W Ameryce jednak również jest bardzo łatwo wylądować na ulicy. Mieszkając tutaj człowiek niemal z założenia ma szybko wpaść w chomąto kredytu, do wzięcia którego zachęcają wszechobecne billboardy, nęcące z każdej strony obietnicą spełnionego, szczęśliwego życia. „Musiśz to kupić”. Kup to i to. Kolorowe produkty wykrzykują z każdego



zaułka. Kup mnie – będziesz szczęśliwszy... Kup mnie – będziesz spełniony... Gdy spacerujesz ulicami, dochodzi do ciebie, jak bardzo krótka jest droga, żeby wylądować pod przysłowiowym mostem, niekoniecznie Brooklyńskim – ten stał się ostatnio prestiżowym adresem.

Do utraty stabilności życiowej często wystarczy utrata pracy. Popadasz w „finansowy kołowrotek przyczynowo-skutkowy”. Odpada jedno ogniwo... wypadasz z rytmu dolarowej maszyny i możesz szybko dołączyć do pokaźnego grona nieszczęśliwców zamieszkujących kartonowe pudełka. Dużo szybciej niż w Europie. Chyba że przyjazny ci splot wydarzeń sprawi, że masz amerykańskie obywatelstwo, tu się urodziłeś, najlepiej jako kobieta, jesteś matką i masz prawo do pobierania *food stamps*...

Mimo wszystko jednak, ilekroć obserwuję nieszczęście bezdomności, to odnoszę wrażenie, że niezłomny jest duch amerykański. Te rozślawione pozytywne myślenie nie jest tutaj jedynie pustym hasłem, w które kazała nam uwierzyć amerykańska kinematografia. Jest czymś, co jest do cna prawdziwe. Mam w głowie obrazek z 2008 roku, kiedy podczas jednej z wizyt w Baltimore wybrałem się na spacer po jego *downtown*. Pamiętam jak dziś gorący, piękny słoneczny dzień... Doszedłem do ulicy, na której było skupisko bezdomnych, leżeli karton przy kartonie, koc przy kocu, przy jakimś długim żelaznym płocie. Widok, którego trudno doświadczyć w Europie. Nie mówię o bezdomności, którą się spotyka pod prawie każdą szerokością geograficzną jako zdarzenie raczej marginalne. Mówię

o niej jako o fizycznie namacalnym zjawisku. Mam wrażenie, że amerykańska bieda ma specyficzny smak. Tutaj jest na wskroś dojmująca, jakby „do kości”. Piszę o ludziach, którzy oprócz kartonu, koca i kubka po kawie na zbierane monety nie posiadali w sensie materialnym absolutnie nic. Jakoś do głowy przewrotnie ciśnie się myśl o sławetnej akcji wysyłania śpiworów do Nowego Jorku przez Urbana... Zamieszkujący ulice Baltimore, chętnie zagadujący przyjezdnych grzecznościową formułką *how are you*, mówili z uśmiechem i pewnością w głosie: *I am fine... It's great. What a beautiful day...* Można było odnieść wrażenie, że są głęboko przekonani, że któregoś dnia karta losu szczęśliwie się dla nich odwróci. Nikt z nich nie narzekał. Nie było słów skargi. To jest tutaj zaskakujące i wspaniałe. Amerykański duch jest niezłomny,

Przypomina mi się również miasteczko w Wirginii Zachodniej tego samego roku, w którym odbył się wolontaryjny obóz darmowej pomocy medycznej. Ustawiła się tu prawie kilometrowa kolejka ludzi, z których większość przyjechała na miejsce samochodami, ale nie stać ich było na dentystę. Ten kontrast rzucał się w oczy. W Polsce wizyta u dentysty nie jest tym samym co w Stanach. Paradoks polega na tym, że tutaj człowiek nie mając „górną jedynek” może być posiadaczem domu, samochodu i sporego ogrodu – co w polskich realiach jest oznaką wysokiego statusu – nie zagłębiając się w jego historię kredytową i tego, w jaki sposób zakupił te dobra.

W Wirginii być może wielu z nich zostało zachęconych wizją darmowego przeglądu zębów, a w Stanach Zjednoczonych jeżeli coś jest darmowe, to działa jak przysłowiowy lep na muchy. Znamy obrazki z Black Fri-

day i kilometrowe kolejki przed sklepami, gdzie grupka szczęśliwców ma szansę „ustrzelić” telewizor *forty percent off*. Wszelkie zniżki i okazje działają tu hipnotyzująco.

Przy całej filozofii istnienia społeczeństwa konsumpcyjnego nie da się nie zwrócić uwagi na amerykańską ideę wolontariatu. Coś, co w USA jest święte, i w co naprawdę urodzeni tu głęboko wierzą. Wszelka idea wolontariatu w Europie traktowana jest dość podejrzliwie. W mentalność jest tam wbite patrzenie na takie inicjatywy z ostrożnością, a towarzyszy wszystkiemu rodzaj specyficznego cwaniactwa, kalkulacja i zawsze „wyjścia na swoje”. Tutaj, pomijając działania mające na celu wyrachowane, „odpisanie sobie od podatku”, idea wolontaryjnej pomocy bliźniemu jest żywa, autentyczna i dostrzegasz ją obserwując amerykańskie kontrasty. To chyba jedno z najpiękniejszych oblicz USA.

Obok bocznego wyjścia z Port Authority Terminal Bus przy nowojorskiej 9 Alei, niedaleko od dumnie wyciągniętego w górę wieżowca „New York Timesa”, co kilka dni wieczorem można natknąć się na stojący Relief Bus. Pojazd, który można karłowatnie językowo przetłumaczyć jako „Autobus ulgi”, rozwozi potrzebującym koce, żywność, leki...

Na oficjalnej stronie Relief Busa możemy przeczytać, że to był niegdyś autobus szkolny, który został przerobiony na „mobilne centrum” do pomocy biednym i bezdomnym. Jak napisano, „przyjazne twarze” serwują np. pyszną zupę jarzynową, świeże bułki i gorącą czekoladę lub mrożoną herbatę, w zależności od sezonu.

Przez ponad 20 lat Relief Bus zaserwował m.in. ponad 4,5 miliona porcji żywności i napojów, a także zmobilizował ponad 48 000 wo-

lontariuszy. Ludzie ulicy podchodzą do busa po dobre jedzenie, ale odchodzą z czymś „dużo większym”. Pracownicy i wolontariusze starają się z całych sił, bo naprawdę kochają bliźnich. Wielu ludzi na ulicach znajduje się w ciężkim momencie w życiu i potrzebują przyjaciela, kogoś, z kim mogą porozmawiać, kto ich naprawdę wysłucha i wesprze.

Relief Bus pomaga w realizacji najbardziej podstawowych ludzkich potrzeb. Jego pracownicy pomagają ludziom w znalezieniu schronienia, organizują szkolenia zawodowe, pomagają dopełnić formalności związanych z opieką medyczną, detoksem i znalezieniem miejsca w ośrodkach rehabilitacyjnych dla uzależnionych od narkotyków i alkoholu. Jak piszą, „ten rodzaj wyciągniętej do ludzi pomocnej dłoni” może przeobrazić czyjąś przyszłość w dobrą, a nawet wiele razy zrobić różnicę między życiem a śmiercią”.

Na wszelkie przychodzące do głowy: a w Polsce też jest bieda... Myślę, że niewielki jest sens pisanie o biedzie w innym kraju, o którym nie mówi się, że jest najbogatszy na świecie. To tak jakby mówić, że na przykład w Hondurasie też jest bieda. Na pewno jest, ale o Hondurasie nikt przecież nie mówi, że jest supermocarstwem. Pamiętam Hindusa parę lat temu zimą na Manhattanie, który nie miał butów... Padał śnieg. Gdzie się podziały buty? Może zasnął w przytulku i ktoś mu te buty ukradł?

Czym jest bieda? Jak ją zdefiniować. Zmierzyć, opisać? Kim jest biedny? Czy bieda jest relatywna? Czy ten, którego nie stać na bochenek chleba raz dziennie, czy ten, kto mieszkając w bogatym społeczeństwie nie ma np. dostępu do internetu... Bieda niejedno ma imię.

DOKOŃCZENIE ZA TYDZIEŃ